

Wyznanie: od 15 lat leczę się z islamofobii

Grzegorz Lindenberg

Chorym rzadko zdarza się pamiętać co do sekundy, kiedy zaczęła się ich choroba. Ja przeciwnie, pamiętam dokładnie: to było 11 września 2001 roku, o godz. 15.30, kiedy w telewizji zobaczyłem padające wieże World Trade Center w Nowym Jorku.

W tym momencie zaczęła się moja fobia, która wtedy jeszcze nie miała nazwy. Potem dopiero okazało się, że nie jestem jedynym chorym i że ta choroba nazywa się islamofobia. Jest to nieuzasadniony lęk przed islamem, tak jak inne fobie, które są neurotycznymi zaburzeniami, wywołanymi przez sytuacje czy obiekty, które obiektywnie nie są wcale niebezpieczne.

Na początku tłumaczyłem sobie, że to nie może być choroba. Że jeśli uważam, że ludzie, domagający się wprowadzenia szariatu zamiast demokracji, ubierający kobiety w czarne worki i obcinający im łechtaczki, zabraniający muzyki i alkoholu i podrzynający gardła starym księżom, są przerażającymi religijnymi fanatykami, z którym należy walczyć politycznie, zbrojnie i jak się jeszcze da – to wykazuję zdrowy rozsądek. Że ci, którzy te koszmarnie pomysły akceptują jako „odmienną, lecz równie bogatą kulturę” – bredzą. Jak każdy wariat, uważałem, że jestem zdrowy – ale przynajmniej miałem troszkę wątpliwości i walczyłem z chorobą.

Mamy wtedy takie spotkania redakcyjne, na których trzymając się za ręce powtarzamy: „Państwo Islamskie nie ma nic wspólnego z islamem. To po prostu radykalni ekstremiści”.

Tłumaczyłem sobie, że obiektywnie nie ma się czego bać. Że chociaż zamachowcy z Nowego Jorku pochodzili z najbardziej muzułmańskiego kraju świata, to przecież równie dobrze wbić samolot w nowojorski wieżowiec mogli na przykład baptyści. Moja fobia jednak trwała i nasilała się z każdym zamachem,

którego sprawcami – całkowicie przypadkowo – były osoby, które krzyczały „Allahu akbar”. Co następowwała jakaś ulga i już myślałem, że się tego całkowicie nieuzasadnionego lęku pozbyłem, to nowy zamach, dokonywany niestety nie przez metodystów ani kwaków, znowu wywoływał nawrót choroby.

Na próżno czytałem wypowiedzi różnych odpowiedzialnych polityków i mądrych dziennikarzy, którzy tłumaczyli mi, że terroryści z Londynu, Madrytu czy Paryża nie mają nic wspólnego z islamem. Z podziwem wprawdzie przyjmowałem ich dogłębne rozumienie islamu – kiedy oni w nawale obowiązków mieli czas, żeby tak znakomicie go poznać, myślałem z zachwytem – ale powtarzane wielokrotnie zapewnienia, że „islam nie ma nic wspólnego z terroryzmem” nie były w stanie mnie przekonać. Fobia trwała.

Nie bez winy są niestety moi profesorowie z czasów, gdy studiowałem socjologię. Gdybym im powiedział na seminarium, że wyznawcy pewnej religii są rok w rok odpowiedzialni za 90% (z grubsza licząc) ofiar zamachów terrorystycznych na świecie, ale że wyznawana przez terrorystów religia, którą oni sami ogłaszają za główną swoją motywację do działania, nie ma kompletnie żadnego związku z tym, co ci wyznawcy robią – to chyba nie tylko do doktoratu, ale i do skończenia pierwszego roku studiów by mnie nie dopuścili. Po prostu tak mnie zindoktrynowali na tych studiach, że nie potrafię sobie powiedzieć: „Nic to, dane i fakty są nieważne, ważne, co w gazecie mądrzy ludzie mówią”. I choroba trwa. Już piętnaście lat.

Nie pomogło, za radą wybitnych polityków, próba zmienienia islamofobii na fobię przed ekstremalnym radykalizmem albo radykalnym ekstremizmem. Ponieważ jednak nie mogłem nigdzie znaleźć ludzi, którzy określali by się jako radykalni ekstremiści ani książki „Radykalny ekstremizm”, na którą mogliby się powoływać, fobia powróciła.

Znalazłem na szczęście wsparcie wśród innych chorych, z

portalu Euroislam. Zawsze przyjemniej jest człowiekowi, jak widzi, że nie tylko sam choruje, cierpi, męczy się, ale że inni też męczą się razem z nim. Wspieramy się wzajemnie, kiedy tylko komuś z nas się pogarsza, bo na przykład obejrzał film ze zrzucania z dachu w Mosulu, przez niedouczonego w Koranie aktywistów, osób mniej zainteresowanych tworzeniem tradycyjnej rodziny. Mamy wtedy takie spotkania redakcyjne, na których trzymając się za ręce powtarzamy: „Państwo Islamskie nie ma nic wspólnego z islamem. To po prostu radykalni ekstremiści”.

Zapisałem się do grupy Anonimowych Islamofobów. Co tydzień dzieliliśmy się pozytywnymi wiadomościami na temat islamu. A to ktoś opowiedział, że to najszybciej rozwijająca się religia na świecie, a to ktoś przypomniał, że tylko nieznaczny procent z półtora miliarda muzułmanów popiera terrorystów – ale ani mnie, ani innym te pozytywne doniesienia nie pomagały. Niestety. Ten nieznaczny procent z półtora miliarda to na świecie kilkadziesiąt milionów, a w Europie kilkadziesiąt tysięcy chętnych do zabijania, myśleliśmy, a nasz nieuzasadnione obawy zamiast maleć, rosły. W dziesiątą rocznicę wybuchu mojej choroby musiałem zrezygnować.

Nie dawały rezultatu profesjonalne terapie. Nie pomogły proste terapie behawioralne, w których po wypowiedzeniu zdania „Islam jest religią pokoju” dostawałem w nagrodę cukierka. Nawet moje ulubione krówki nie przekonały mnie, że to prawda. Udało mi się z przekonaniem powiedzieć tylko: „Islam jest religią przedpokoju”, ale terapeuta nie był zadowolony i mnie zwolnił. Nie pomogła psychoanaliza, w której okazało się, że opowiadania o snach, w których ubrani na czarno faceci mówiący w dziwnym języku podrzynają mi gardło, wcale nie poprawia mojego stanu. Nie pomogła psychoterapia, w której bezskutecznie próbowałem dojść do powodów moich nieuzasadnionych obaw o to, że idąc na świąteczny pokaz fajerwerków mogę zostać rozjechany przez kierowcę, który nie doczytał w Koranie tego co trzeba.

Udało mi się na szczęście tej islamofobii nie przekazać

niewinnym moim dzieckiem, ale miało to niekorzystne konsekwencje. Syn musiał powtarzać klasę, kiedy na historii spytał, jakich argumentów użyli muzułmanie, że udało im się pokojowo opanować Konstantynopol w 1453 roku i co się wtedy stało z chrześcijanami mieszkającymi w tym mieście. Córka została wyrzucona ze szkoły, gdy stwierdziła na lekcji wychowawczej, że Sobieski nie jest bohaterem narodowym tylko terrorystą, ponieważ zamiast zaproponować Kara Mustafie kompromis i podzielić się Wiedniem wzdłuż Dunaju, potraktował go brutalnie husarią.

Sposobem na fobię jest unikanie tych sytuacji i przedmiotów, które ową fobię pobudzają. I ja próbowałem tego sposobu. Przestałem czytać w internecie i gazetach wiadomości, przestałem oglądać telewizję, z Facebooka zrezygnowałem i za granicę nie jeździłem. Wszystko było dobrze do momentu, kiedy spotkałem koleżankę szkolną, która wyjechała za chlebem z masłem i szynką do Szwecji wiele lat temu, a teraz postanowiła wracać, decydując się na polski chleb z pasztetową. Już po 10 minutach wszystkie moje symptomy wróciły. Wprawdzie podejrzewałem, że ten kraj, w którym ona mieszkała, to wcale nie jest Szwecja, bo przecież tam żadnych gwałtów, napadów, ani dzielnic bez wstępu dla obcych nie ma, ale ona się upierała, że to jednak Szwecja i że tam mieszka kilkaset tysięcy ludzi, którzy chcą ten kraj urządzić zupełnie inaczej niż mnie się wydaje. Wtedy się załamane i wróciłem do czytania, słuchania i oglądania, a fobia trwa w najlepsze. Już piętnaście lat.

Wiem, że nadziei na wyleczenie dużej nie ma, ale jednak jestem optymistą. Służbom specjalnym udaje się zapobiec ogromnej większości zamachów w Europie; coraz więcej ludzi uważa, że przybysze do Europy powinni zachowywać się zgodnie z tutejszymi, a nie pustynnymi zwyczajami, a nawet wśród tych przybyszów jest wielu takich jak burmistrz Rotterdamu, który zwolennikom pustynnych obyczajów sprzed półtora tysiąca lat powiedział „wypad”.

Dlatego mam wielką nadzieję, że nie będę musiał podobnego tekstu pisać dla upamiętnienia trzydziestolecia mojej choroby.

P.S. Tekst dedykuję tysiącom wspaniałych ludzi, którzy poświęcili swoje życie, walcząc z nieistniejącym zagrożeniem, którego się bezpodstawnie obawiam.

Polecamy także tekst z okazji rocznicy 11 września, autorstwa Jana

Wójcika: <http://wiadomosci.wp.pl/kat,1356,title,Wojna-z-terror-em-pietnascie-lat-pozniej-Miejscem-kulminacyjnych-wydarzen-tego-konfliktu-bedzie-Europa,wid,18500230,martykul.html>